

Wells Herbert George - Kuszenie Harringaya(z txt)

pracowicie przepisał: Łukasz Jachowicz
wersja tekstu: 0.95b (grudzień 1997)

Kuszenie Harringaya

Niepodobna jest stwierdzić, czy naprawdę tak się zdarzyło.

Rękojmię prawdziwości stanowi jedynie słowo R. M. Harringaya, a on jest artystą.

Punkt wyjściowy opowiadania - jeśli przyjmiemy wersję R. M. Harringaya - stanowi moment, gdy malarz wszedł do swej pracowni, coś koło dziesiątej rano, aby zastanowić się, kogo właściwie mogłaby przedstawiać głowa, nad którą pracował cały poprzedni dzień. Była to głowa kataryniarza Włocha i Harringay przypuszczał, choć nie zdecydował się jeszcze całkowicie, że da obrazowi tytuł Wigilia. Te słowa są z pewnością szczerze i do tego miejsca relacja nosi znamiona prawdy. Wyczytał z twarzy tego człowieka, że pragnie zdobyć trochę pieniędzy, i z szybkością decyzji znamionującą geniusz natychmiast sprowadził go do siebie.

- Proszę klęknąć! Proszę patrzeć na tę podpórkę - mówił Harringay. - Jak gdyby pan spodziewał się otrzymać pieniądze.

- Niech się pan nie uśmiecha - dodał. - Nie chcę malować pańskich dziąseł. Chcę, żeby pan wyglądał na człowieka nieszczęśliwego.

Teraz, po nocnym wypoczynku, obraz wydał mu się zupełnie niezadowolający. - To niezła robota - rzekł. - Ten kawałek karku... Jednak... Chodził wzdłuż i w szerz pracowni i przyglądał się obrazowi to z tej, to z tamtej strony. A potem powiedział brzydkie słowo (w wersji oryginalnej zachowało się ono).

- Malowidło - mówił (jak sam powiada). - Namalowany na płótnie kataryniarz. Portret to i tylko portret. Nie miałbym nic przeciw temu, żeby to był żywy kataryniarz. Ale jakoś nigdy moje obrazy nie ożywają. Czyżby to była wina mojej wyobraźni? - (Te słowa również noszą piętno prawdy. To jest wina jego wyobraźni). - Ach, jedno twórcze dotknięcie pędzka! Wziąć płótno, farbę i stworzyć człowieka... tak jak Adama stworzono z czerwonej gliny! Ale to... Gdyby nawet ta postać szła ulicą, to i tak każdy wiedziałby, że powstała w pracowni malarskiej, a mali chłopcy skierowaliby ją do firmy „Garnome i złożone ramy”. Ach, jedno takie dotknięcie pędzla... No cóż, tak jak jest w tej chwili, to na nic.

Podszedł do okna i począł spuszczać zasłony. Były zrobione z niebieskiego holenderskiego płótna i miały wałki na dole, więc spuszczało się je chcąc mieć więcej światła. Wziął ze stołu paletę, pędzle, pałeczkę. Zbliżył się do obrazu i położył odrobinę brązu w kącikach ust. Potem przyjrzał się uważnie źrenicy oka. Następnie zdecydował, że broda zdradza zbyt wiele niecierpliwości, jak na czuwanie.

Po chwili odłożył swe impedimenta i zapaliwszy fajkę przyglądał się robocie.

- Niechaj mnie powiesz, jeśli ten obraz nie śmieje się ze mnie - rzekł (do dziś jest przekonany, że śnua się istotnie).

Malowana postać ożywiła się niewątpliwie, ale jakoś inaczej, niżby sobie życzył. Pewne było, że śmieje się szyderczo.

- Wigilia niewierzącego - powiedział Harringay. - To wnikliwe i dowcipne! Ale lewa brew nie dość jest jest cyniczna.

Podszedł do obrazu i musnął pędzlem brwi, a potem powiększył muszlę ucha, aby zasugerować materializm. Znowu zastanowił się.

- Koniec z Wigilią, zaje się - rzekł. - A dlaczego nie miałyby to być Mefistofeles? To zbyt pospolite. Przyjacieli doży? Nie w takich łachmanach. Zbroja też nie nadawałaby się. To przypominałoby legendę o królu Arturze. A gdyby tak dać mu szkarłatną szatę i nazwać go Członek Świętego Kolegiun? Byłby w tym humor i uznanie dla włoskiego średniowiecza. Można by Benvenuto Celliniego, gdyby tak zaznaczyć w rogu złoty puchar. Ale nie pasowałyby to do jego cery.

Harringay opowiadał, że rozprawiał w ten sposób, chcąc zagłuszyć niezrozumiałe i dokuczliwe uczucie lęku.

Wyraz twarzy malowanej postaci stawał się niewątpliwie coraz bardziej nieprzyjemny. Lecz równie niewątpliwie twarz ta nabierała coraz więcej życia, stawała się najbardziej żywa, choć zarazem może i najbardziej złowieszczą ze wszystkich, jakie dotychczas namalował.

- Nazwijmy to - mówił dalej - Portret Dżentelnema, Pewien Dżentelmen. - Nie, to byłoby niestosowne - ciągnął zbiegając na odwagę. To właśnie nazywają brakiem gustu. Ten szyderczy uśmiech musi zniknąć, a wtedy, jeśli dodamy jeszcze trochę ognia jego źrenicom,... nie zauważył przedtem, ile ciepła jest w jego oku... Będzie on... kim? A może Namiętym Pielgrzymem? Ach, ale nie z twarzą takiego diablika... przynajmniej po tej stronie kanału La Manche. A wina tkwi w pewnej drobnej niedokładności. Zdaje się, że brwi są zbyt skośne - mówiąc to opuścił jeszcze niżej zasłony, by mieć lepsze światło, i znów wziął do ręki farbę i pędzle. Wydawało się, że twarz na obrazie goreje własnym życiem. Nie potrafił wykryć, co nadawało jej ów sataniczny wyraz. Musiał spróbować. Brwi? Chyba niemożliwe, aby to sprawiały brwi. Jednak je zmienił. Och, nie, wcale nie jest lepiej, kto wie nawet, czy twarz nie stała się jeszcze odrobinę bardziej diaboliczna. Kąciki ust? Pac! Szyderczy uśmiech zarysował się wyraźniej... a teraz, poprawiony ponownie, jest po prostu złowieszczy! Zatem oczy? Och, nieszczęście! Zanurzył pędzel w cynobrze, a nie w brązie. A tak był pewien, że to brąz! Portret wywrócił gałkami oczu i utkwiał w malarzu wzrok z płomienia. W porywie wściekłości, nieledwie z odwagą desperata, Harringay machnął pędzlem z czerwoną farbą przez twarz obrazu, a wtedy zdarzyła się rzecz dziwna, jeżeli, oczywiście, zdarzyła się istotnie. Diaboliczny Włoch zamknął oczy, zacisnął wargi i zmasał ręką farbę z twarzy.

Potem czerwone oko znów się otwarło, wargi rozchyliły się z lekkim cmoknięciem i twarz uśmiechnęła się.

- Trochę to nierozważnie z pańskiej strony - odezwał się portret. Harringay twierdzi, że od tej chwili, gdy już zdarzyło się najgorsze, odzyskał panowanie nad sobą. Otuchy dodawało mu przekonanie, że diabły są rozsądnymi istotami.

- Dlaczego pan się tak bez przerwy rusza - spytał - robi grymasy, zezuje i śmieje się szyderczo, gdy ja pana maluję?

- Wcale tego nie robię - odparł obraz.

- Ależ tak!

- To pan to wszystko robi!

- Ja? Skądże!

- Tak, to pan. Proszę nie chlapać mnie farbą, bo to prawda.

Cały ranek próbował pan, czy nie uda się przypadkiem wpaść na to, jaki wyraz należałoby nadać mojej twarzy. Słowo daję, nie wie pan, jak powinny wyglądać pańskie obrazy.

- Ależ wiem - odparł Harringay.

- Nie - sprzeciwił się obraz. - Nic pan nie wie. Zawsze pan zaczyna malować mając zaledwie słabe pojęcie o tym, co chce pan przedstawić. To ma być coś pięknego, tego pan jest pewien, coś wzniosłego lub może tragicznego, ale poza tym wszystko jest tylko eksperymentem i szczęśliwym trafem. Drogi panie, czyż pan myśli, że można w ten sposób namalować o b r a z? Musimy pamiętać, że to, co teraz będzie powiedziane, pochodzi z ust Haringaya.

- Będę malować obrazy tak, jak mi się spodoba - odparł spokojnie Haringay. Zdaje się, że portret spieszył się na te słowa.

- Nie można przecież malować nie mając pomysłu.

- Ale ja miałem pomysł takiego właśnie obrazu.

- Pomysł! - szdyziła sardoniczna postać. - Widok kataryniarza patrzącego w okno zbudził w panu natchnienie. Wigilia! Ha, ha, ha! Po prostu zaczął pan malować licząc, że coś z tego wyjdzie! Tak właśnie pan robił! Kiedy to zauważyłem, przyszedłem. Chcę z panem porozmawiać.

- Kiepsko się przedstawia pańska sztuka - ciągnął obraz. Marnuje pan czas. Nie rozumiem, czemu tak jest, ale jakoś nie potrafi pan przelać duszy w swe dzieła. Za dużo pan wie, to pana hamuje. W porywie największego entuzjazmu zadaje pan nagle pytanie, czy nie namalowano już kiedyś czegoś podobnego. Wtedy...

- Słuchaj - rzekł Haringay, który oczekiwał po diable raczej wszystkiego innego niż krytyki swego rzemiosła. - Czy będziesz tutaj rozprawiać ze mną na temat metod malarskich?

Umoczył gruby oędzel w czerwonej farbie.

- Prawdziwy artysta - mówił obraz - jest zawsze ignorantem.

Artysta, który teoretyzuje na temat swej pracy, nie jest już artystą, tylko krytykiem. Wagner... Co widzę! Na co ta czerwona farba?

- Mam zamiar cię zamalować - odparł Haringay. - Nie mam ochoty słuchać tej fadaniny! Jeżeli wyobrazasz sobie, że będę dyskutować z tobą na temat malarstwa, dlatego, że jestem zawodowym malarzem, to grubo się mylisz. - Minutkę - rzekł obraz, najwidoczniej przestraszony. - Chcę ci przedłożyć pewną propozycję. Uczciwą propozycję. Mam rację w tym, co powiedziałem. Tobie brak natchnienia. Dobrze. Bez wątplenia musiałeś słyszeć o katedrze w Kolonii, o diabelskim moście i...

- Bzdury - rzekł Haringay. - Czyż myślisz, że zechcę iść na potępienie, byle tylko mieć przyjemność namalowania dobrego obrazu i wywołania zjadliwej krytyki?! A masz!

Krew w nim zawrzała. Niebezpieczeństwo pobudzało go tylko do działania - tak twierdzi. Pacnął diabła czerwoną farbą w usta. Włoch, straszliwie zdziwiony, wypluł i zmasał czerwień. I wtedy - jak opowiada Haringay - rozpoczęła się osobliwa walka. Malarz chlustał na obraz farbą, a portret wił się i skręcał, i w jednej chwili wycierał cynober.

- Dwa arcydzieła - jęknął demon. - Dwa niewątpliwe arcydzieła za duszę artysty z Chelsea! Zgoda?

Odpowiedział mu pędzel Haringaya.

Przez kilka minut słyhać było tylko, jak posuwa się po płótnie pędzel, jak Włoch złości się, jęczy i pluje. Niejeden raz farba padała na jego wyciągnięte ramię i dłoń, chociaż często udawało się malarzowi zmylić jego czujność. Po chwili zabrakło farby w palecie i dwaj antagoniści stali bez tchu, wpatrzni w siebie. Włoch był do tego stopnia umazany farbą, jak gdyby tarzał się po podłodze w rzeźni. Nie mógł złapać oddechu, a wilgotna farba spływała mu po karku, co wcale nie było przyjemne. Jednakże wychodził z pierwszej rundy zwycięsko.

- Pomyśl - rzekł trwając mężnie na swym stanowisku - dwa wspaniałe arcydzieła, i to w dwu odmiennych stylach. Każde z nich o nie mniejszej wartości, niż katedra...

- Wiem - odparł Harringay, wypadł z pracowni i pomknął korytarzem ku buduarowi żony. W chwilę później był już z powrotem z pędzlem i dużą tubą farby. Na ten widok szatański mecenas sztuki o czerwonych oczach zaczął krzyczeć ze strachu.

- Trzy arcydzieła - wołał - trzy niezrównane arcydzieła!

Harringay nabrał farby, a następnie zdzielił go pędzlem w oko. Dały się słyszeć niewyraźnie, głucho brzmiące słowa: - Cztery arcydzieła - i odgłos plucia.

Ale Harringay był teraz górą i nie zamierzał wyrzekać się zwycięstwa. Szybkimi, śmiałymi ruchami zamalowywał drgające płótno, aż w końcu pozostała jednolita płaszczyzna błyszczącej farby. Raz wynurzyły się usta i nim je wypełnił farbą, zdołały powiedzieć: - Pięć arcy... - a potem otwarło się czerwone oko i popatrzyło z oburzeniem na malarza. Lecz w końcu nie pozostało już nic, tylko połyskliwa tafla schnącej farby. Przez chwilę farba wzdymała się lekko, tu i tam, jak gdyby coś pod nią drgało, ale potem i ten ruch zamarł i wszystko ogarnął spokój.

A wtedy Harringay - Harringay nam tak opowiadał - zapalił fajkę, usiadł, wpatrzył się w płótno i usiłował zdać sobie jasno sprawę z tego, co zaszło. Potem podszedł do obrazu, stanął za nim, aby się przekonać, czy z tyłu nie odktyje czegoś godnego uwagi. Potem zaczął żałować, że nie sfotografował diabła, nim go zamalował.

Tak opowiada Harringay - nie ja. Na dowód pokazuje niewielkie płótno (24 na 20 cali) pokryte seledynem i składa uroczyste zapewnienia, że to wszystko prawda.

Prawdą jest również, że nie udało mu się dotychczas stworzyć arcydzieła i - jeśli mamy wierzyć słowom jego serdecznych przyjaciół - nigdy zapewne arcydzieła nie stworzy.

Opracowano w oparciu o:

Herbert George Wells - Opowieści fantastyczne

Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1976
